

W S K A Z A N I A 3-G O M A J A .

/"Polska Walcząca" Nr 18, dn. 2.V.42 r./

"Vivat Sejm, vivat król, vivat wszystkie Stany! brzmi polonez Trzeciego Maja" - oto nieśmiertelne słowa Mickiewiczowskiego koncertu Jankiela, które narzuciły jednolitą wizję Konstytucji Trzeciego Maja, wyobraźni narodu polskiego. Utrwalił tę wizję wspaniały, skąpany w słoni i radości, obraz matejkowski, nie wolny zresztą od pewnych historycznie krzywdzących szeregów na rachunek najwybitniejszego zresztą spośród późniejszych targowiczów, oponenta Konstytucji - Suchorzewskiego. Ten zgodny ton poezji i barwy złożył się na wizję radosną i dumną, przechowywaną, a w miarę postępu czasu coraz bardziej kultywowaną w duszy polskiej.

Stało się to zaś słusznym! Na tle tylu bowiem fikcyjnych żywotów dotychczasowej historiografii polskiej, radosna wizja Trzeciego Maja jest nie tylko wizją piękną i podniosłą, ale wizją rzetelną i prawdziwą. Wówczas bowiem dnia 3-go maja 1791 dokonano się w dziejach Polski coś bezspornie pięknego i wielkiego. Jakby wielki akt pożegnania baletu Rzeczypospolitej, z którego pięknem i prawdą poszliśmy w świat na tułaczkę legionową i powstającą, umocnieni na duchu i sami przed sobą uprawnieni do żądania nowej, lepszej przyszłości.

Żaden może z uczonych polskich nie postawił Konstytucji Trzeciego Maja tak wysoko w hierarchii wiekopomych polskich poczyni, jak właśnie prof. Oswald Balzer, gdy swą rozprawą o Konstytucji Trzeciego Maja zamknął około r. 1910 swą najcelniejszą epokę działalności. Był to bowiem okres prac nie tylko badacza o niesłychanej wprost wiedzy, ale jednego z najostrożniejszych krytyków polskiej przeszłości. Balzer zmienił potem ze względów politycznych a bez wystarczających podstaw naukowych, całkowicie swój pogląd ogólny na dzieje Polski i poosał swobodnie namiętnie wszystkie swoje własne poprzednie wyniki badań. W zamknięciu jednak swego poprzedniego, wielkiego okresu, wyznaczył właśnie Balzer Konstytucji Trzeciego Maja rolę słupa dziejowego, czy pomnika zwrotnego oddziałającego dawną Polskę, w której według jego własnych słów "było tak źle, że gorzej być nie mogło", od Polski nowej, Polski z ducha postępu i walności.

Wówczas to również Balzer właśnie potępił był naród szlachecki w słowach, których ten typ Polaka zrodził się bowiem wówczas z idei i poczyni kół "stronnictwa Patriotycznego", skupionego w zasadzie przy królu Stanisławie Augustcie, choć właściwie formy i byt czynu odrodzonemu Polakowi dał dopiero niesłomny generał Henryk Dąbrowski.

Konstytucja Trzeciego Maja i cała działalność "stronnictwa Patriotycznego" była dziełem niepełnym i nie wprowadziła żadnych rewolucyjnych zmian w duchu przewrotów dokonanych na Zachodzie. Nie mniej głównie przez prawo o miastach, a częściowo przez pierwsze próbę wdania się prawa w polskie prawa obywatelskie, rozpoczęła drogę narodu i ducha polskiego ku nowemu światu, ku nowym ideom.

Wybitniejsze oczywiście były te nowe wartości polityczne, które Konstytucja Trzeciego Maja przyniosła w kierunku zorientowania normalnego nowoczesnego państwa, państwa, które z chaosu tradycjonalnej ranki poczęło się wydobywać ku nowoczesnym, zdrowym stosunkom. Ta dalej idąca jednak część Konstytucji 3-go Maja właściwie nie zdołała nigdy wejść na dobre w życie!

Wraca w ucho polskie przy słowie "Trzeci Maja" stale radosny polonez Trzeciego Maja, ale jak Mickiewicz nie mógł odtworzyć poetycko wspomnień o tym radosnym dniu bez łączenia go z "sykiem węża" Targowicy, tak dzisiaj nie można, co więcej nie wolno nam wzywać się w ten uzasadniony pean historyczny Trzeciego Maja, bez powiedzenia sobie samemu słów prawdy o tejże Targowicy. Prawda ta musi być równocześnie wypowiedziana, gdyż inaczej wspomnienia i pamięć o Konstytucji Trzeciego Maja nie będą mogły spełniać w Polsce tej pedagogicznej roli wobec potomnych, jaka spełniać powinny.

Nie kto inny, ale właśnie Sienkiewicz, dojrzały duchowo i historycznie, włożył w usta jednej ze swych postaci powieściowych słowa związane z czasami Konstytucji Trzeciego Maja: "Po co mówić tyle o dobrych, kiedy było tyle więcej złych". Cytuję z niedokładną, ale w tych słowach jest to najważniejsze, co powiedziane być powinno. Jeśli chcemy pisać dla pożytku narodowego, a nie dla pożytku.

"Stronnictwo patriotyczne", t.j. twórcy Konstytucji Trzeciego Maja byli tylko słasko-ba i pęcarciem króla stojąca grupa, walcząca o ratunek dla Polski nie tylko przeciwko obcym, ale przede wszystkim przeciwko swoim, opętany w większości hasłami fraszek o niebezpieczeństwie narodowym, świętości tradycji i obronie przez nikogo nie zagrożonej religii. Stali się oficjalnie "stronnictwem narodowym", miało w zasadzie olbrzymią większość ówczesnej opinii polskiej za sobą. Na 609 posłów i senatorów Sejmu Czterolletniego, uprawnionych i powołanych do głosowania, Konstytucja Trzeciego Maja otrzymała faktycznie zaletwo 92 czy 96 głosów. Na 55 poprzednio w r. 1790 konsultowanych sejmików tylko 6 oświadczyło się za dziedzielnosć oia tronu, czyli najistotniejszym punktem Konstytucji Trzeciego Maja. Tak wyglądała rzeczywistość ówczesna!



W tym maraże do Polski potrzebny jest obok podziemnego wysiłku zbrojnego nieustanny wysiłek myślowy, który by spajał wolność narodową, nieprzerwanie w błąk jednolity, któryby różnym grupom krajowej, rosyjskiej, brytyjskiej, polskiej w wschodzie i t.d. odnosił wzajemnie poręczy, tęsknoty i pragnienia, dążeń do tego samego nastroju. A ten dźwięk prawa życia na obczyźnie dźwięka z okrutną sterownością i powoli porusza odłamy wychodzące od głównego dnia przyszły, od myśli i nastrojów tej ogromnej, podziemnej nasy narodowej pozostałej w kraju.

Rozsypani w różnych środowiskach wsiakają powoli w inne życie, obce słowa, zwyczaje i odczuwania. Często z dala od siebie i noweli rozpokoju, walizki wspominając, że życie nasze na obczyźnie powinno być postojem na drodze kłopotów i w oczekiwaniu na odjazd. Innych zżera tęsknota, Wyrwani z gleby duchowej jako stanowi język odczyna, życie codzienne, tak inne przecież, tak odmienne - chorują ciężko i błądzą w nobilitacji, obraz przeszłości utrwalaony, jak klisz, wyidealizowany, umiejscowiony w ich widoku, wycie, z kręgiem tych samych spraw, ludzi i zdarzeń, omal potykają się o siebie, bezstrawione tak jak były w dniu odjazdu.

Polituania godni właścicieli "niepotrzebnych kluczy!" Życie w kraju nie patrzymano się w dniu ich odjazdu, nie tylko portem naprzód, ale przeszło przez tak ogromną zmianę podległo zniekształceniom tak straszliwym, że naprawdę nieprzerwanego wysiłku woli i umysłu oraz serca trzeba, i to stałego, codziennego, by to zmiany rozumieć, by nie wrócić do kraju Polskim obywatelami tamtejszej polskości.

Utrzymywanie łączności z krajem przez każdego z nas nie może zawiązać jedynie na ciekawiej niteczce korespondencjosoobistej. Jak wątko jest to nie, jak często wie się, jak nikłe nie nie znaczące wieści sączą się przez kilka szkodliwie zamkniętych granic!

Trzeba budować w sobie bezustannie stery, ogarniać obraz stosunków w kraju, ugruntowywać rozumowo obrazy przeobrażeń, wiązać przebiegi, stosunków, wreszcie, co może najważniejsze, ogarniać sercem, pojmować uczuciem i wyobrażać to, czego rozum ogarnąć nie może.

Tu najlepszym, bodaj jedynym łącznikiem może być - poezja. Niedarmo mówię o niej, że zamyka w swych strofach wszystko, co naród przeżył; nie przeżyła polska - przeżyła walki wyzwoleniczych najskrupulatniej stenografuje najtajniejsze drgnienia ducha narodowego. rejestruje wzloty i upadki fali uczuciowej; to potarza, co niewidoczne jak raz nagrana płyta, stare melodie walki i tułaczki, budząc nieodmownie te same arcywzruszenia, włączając łzami oczy każdego kolejno pokolenia, to znowu nowe hasła, walki i upadki, nowe pokolenie, doświadczone klęską, nagle pojęło pieśń ojców, Zawikłane hieroglify, tajne symbole, nieodczytane dawniej rozumem, poznaje dziś jakimiś drgnieniami serca, wyzuceni mistycznych napięć, podskokami nowych zmysłów, narodzonych w klęsce, wysublimowanych w cierpieniu.

Na wygnaniu poezja polska obrodziła obficie. Nie tu miały się i czas rozstrząsać, ile w tym plewy, które wiatr rozmieci, ile w tym ziarna nachleb dla wszystkich, czy przyszłe obsiewy. Choćby najkunsztowniejsza, nie zastąpi jednak w niezłym głodzie słowa, zrodzonego w rzeczywistości walki, poezji, zrodzonej z życia prawdziwego, a życie prawdziwe może być tylko w kraju, w najczystszej i najwrażliwszym punkcie narodowego cierpienia. Żołnierz karmiony materiałem informacyjnym o sytuacji w kraju, statystykami ofiar, deportacji i zsyłek, domaga się ciągle również pokarmu uczuciowego, suchana poezja, nowela, powieści, któreby opiewały walkę kraju.

Literaci na wygnaniu, pogrążeni w swarach, strachu, czy nawrótach do wielkiej przeszłości nie chcą, czy nie umieją mocą swego talentu ożywić suchych raportów. Zastąpił ich i wyprzedził poeta bezimienny. Przemówił strofami przystaję, jak tragizm, żołnierz armii, walczącej w kraju, z o k n i e r z b o z m a n d o r o.

Na półkach księgarskich pojawiła się mała książeczka, zawierająca utwory podziemnej Warszawy, utwory żyjące w kraju, przekazywane tam z rąk do rąk pod groźbą śmierci, /mowa o przedruku "Antologii poezji współczesnej" wydanej w Warszawie, przedrukowanej przez Książnicę Polska w Anglii/. Większość utworów poświęcona jest bohaterstwu walcu Warszawy, walce, która nie skończyła się wcale we wrześniu 1939r. Jak pisze bezimienny poeta: "... na każdej ulicy, w każdym domu bój o Polskę trwa."

Warszawa przedwojenna, wesola zalotnica, znana nam z uśmiechniętej piosenki mówi z tych kart zgola innym językiem, krwi i wznoszącego bohaterstwa. Nazwy ulic: Opaczewska, Nowy Świat, Warecka, Plac Trzech Krzyży, /dlaczego tylko trzech nie więcej - różne strofa/, Zawichy Czarnego, Aleje skwery, zaniki - rysują w naszej wyobraźni jakiś nowy plan miasta, plan wykreślony krwią, gdzie poezja, wielbiąc bohaterstwo, nowego bohatera Warszawy, opatruje ulice i skwery jakby w nowe nieśmiertelne tablice w strofami opoei.

Przejmujące wrażenie wywiera cykl: Egzekucje. Pisali te strofy świadkowie zbrodni, nieraz skazańcy, cudem wyrwani śmierci. Pisali nie dla sławy, rytmizowanej - inną miarą cenić trzeba ich słowa - ale by, wedle ich własnych słów, dać świadectwo prawdziwe, by wróg wiedział, "że nawet z mogiły powróci świadek zbrodni, wyjdzie o pomstę do nieba".

Cicha, niezauważona, jakby, była ta jedyna może w swej okoliczności na świecie książka. Obojętnie przesuwają się po niej oczy emigracji, a przed nią rzadko kiedy wznowione przedmowy b. o bardziej szczerze i prawdziwie, że książka ta "powstała się z krwi i łez, z krwi każdego żołnierza i skazaneby było, aby towarzyszyło ludziom pracy, ludziom myśli, i ludziom uczucia, wszystkim, liczącym się wobec Boga i ludzienia do wartości życia i umiłowania trwających, cierpiących i walczących, do której nieustannie zwraca się ta poezja".



Okrutne miejsce ona w swej prawdzie strofy, jak bezlitosna jest też prawda o rzeczywistości polskiej w kraju. Odczytywanie ich, raz, drugi i trzeci... i ponownie, kiedy wola słabnie i pamięć o kraju zarasta kwiatami czy chwastami nowych przeżyć, jest może - samoudręką, ale udręką konieczną i twórczą.

Jakże często słychać słowa, że ten lub tamten "nie chce już czytać tych wszystkich okropności z kraju". Jeden nie chce uwierzyć, że tam gład szczerzy żęby, bo mu w liście ktoś najbliższy pisał, że chleba na codzień starczy. Może nie chciało zasmucać wygnańca prawdziwym obrazem nędzy. Jak często miłość ukryje własną niedolę, myśląc tylko o spokoju i szczęściu bliskiej osoby. Inny ucieka od myśli o kraju, bo czuje swą bezsilność, bo mu lża natychmiast oczy mgłą zasnuwa. Jeszcze inny, ten najgorszy i najpodejrzany wygodniś, bo mu ta zhora krajowej rzeczywistości zakłóca bezmyślny dosyt, rozplanowany spokój, nowe ułożenie życia. U wszystkich tchórzostwo w mniejszym lub większym stopniu odsuwa myśli o kraju i odgłosy z tamtych stron, tchórzostwo wywodzące się z słabość natury ludzkiej, nie ustępliwie dążącej do spokoju i szczęścia w wszelką cenę. Potrzeba nam stałych przezwyciężeń, rozdrapywania blizn, patrzenia w twarz nieszczęściu kraju tak długo i uparcie, aż izy wyschną i wzrok przenikliwy, nie zamącony dotrzą do dna poniżenia i klęski, aż ją pojmie i zrozumie. Bo jesteśmy pokolenia, które spocząć nie może, które nie zazna spokoju w żadnym kraju, w żadnym zaciszu, póki nie wypełni swajęgo przeznaczenia. To prawda, że zdaje się ono przerastać nasze siły, ale na inne barki przerzucić się nie da. Trzeba dźwigać ten ciężar, wierzyć, że dojdziemy, krzepić i nawoływać innych. Dwie straszne wojny, dwa potężne huragany, porwały w swe pazury nasze pokolenie. Przetrawienie i zwyciężenie oznaczać będzie długi pokój dla synów i wnuków. Kto wie, może na dziesiątki lat, może na stulecia, jak po Grunwaldzie.

Zdobytajmy w codziennym wysiłku odwagę patrzenia w oczy umęczonemu kraju. Siłę wielokrotnego odczytywania tak prostych, a wstrząsających słów naszego nieznanego brata, który pisze, ocalony z rzezi wawerskiej: "... Poczulen, że się w męce trochę z a d o m o w i ło...". Fałszywy rozsądek przyziemności nieraz może łudząco podszeptując będzie, że słodko jest zadomowić się w obcym dobrobycie, czy bezmyślniej codzienności, ale instynkt narodowy nakazuje co innego. Patrzeć w serce Kraju, żyć jego rytmem i czekać na jego wezwanie.

Antoni Wójcicki.

xxxXXXxxx

G S T A T H I A R O Z M O W A.

/"Polska Walcząca" Nr 30, 1942 rok/.

Przed chwilą przeczytałem wiadomość o wynikach wielkiego, "czterocyfrowego" nalotu na Bremę, w którym brały udział polskie dywizjony lotnicze, o zniszczeniu fabryk przemysłu wojennego: okrętów podwodnych, samolotów. W tym samym dzienniku znalazłem krótką notatkę p.t. "Dwa pokolenia":

"Gdzie indziej inna jest mogiła. Są nią bezmierne wód przestrzenie a ten, co spoczął pod falami, nie był już młody. Był ze starszego pokolenia. Kiedyś przeleciał przez Atlantyk niewielką polską awionetką do Ameryki pol... a teraz legł w walce dla Polski. Wracał z bombardowania Bremy. Zadanie było wykonane. Załoga musiała wodować...".

Nie chciałem wierzyć. Za dobrze domyślałem się o kim mowa. Klepsydra żałobna p.płk pilota śp. Stanisława Skarżyńskiego - przekreśliła wszelką złudną, nadziejną niepewność. Tak, to - On. Siwy, zlekka utykający na nogę. To On poszedł z polskim dywizjonem nad Bremę w olbrzymim nalocie.

Widzę Jego zadumaną twarz... widzę daleko wybiegające w myślach szare oczy. Wraca ostatnia rozmowa nasza z przed kilku zaledwie tygodni. To było na lotnisku jednego z polskich dywizjonów bombowych. W messie oficerskiej było gwarło i śmiechy. Obserwując ogólny nastrój sali, usiadłem na chwilę w kacie pod ścianą. Wtedy podszedł do mnie siwy Pułkownik, usiadł obok, przypominając nasze poprzednie spotkania.

Pierwsze w szkole lotniczej w W. pod Blackpool, gdzie w bardzo trudnych warunkach rozpoczynał pracę, drugie w szkole pilotarzu w H., gdzie kształcił młody narybek polskiego lotnictwa, trzecie na terenie olbrzymiej szkoły w H., której był duszą, niezwykle wyrozumiałym dowódcą i zapobiegliwym kierownikiem. Czwarte spotkanie na terenie dywizjonu bombowego zaskoczyło mnie. Więc zapytałem się:

- "Pan pułkownik jest tu polskim senior-officerem?"

Obruszył się, poczerwieniał z lekka i odpowiedział wkońcu z uśmiechem:

- "Ja tu jestem pilotem".

- "Pilotem?"

Potwierdził nie bez dumy:

- "Tak jest, pilotem. Przeszedłem nowe przeszkolenie do lotów bojowych w szkole B. a teraz już "chodzę" stąd na operacje nad Francją".

Spojrzałem na siwe włosy, na jego nogę...



- "Ale... czy to Pana nie męczy? Jak z sercem?" - zaryzykowałem pytanie.

Uśmiechnął się wybacząco:

- "Panie, ja jestem stary pilot - serce mam jak dzwon, wysokość nic nie znaczy. Za parę dni pójdę nad Niemcy, to dopiero będzie robota."

Nie dawałem się tak łatwo przekonać. Wiedziałem, że to ponad Jego siły, ponad wiek i kondycję fizyczną. Wiedziałem, że ma tutaj żonę, którą nie tak dawno z trudem wydobyl z Warszawy, wiedziałem, że ma tu małego, ukochanego synka. Próbowałem zgłębić tę sprawę:

- "Panie pułkowniku, co będzie w razie konieczności użycia spadochronu?"

Zamyślił się poważnie i po chwili dopiero odpowiadał:

- "Na lądzie dam sobie radę. Nie wiem jak będzie na wodzie. To może być rzeczywiście trudne, ale..."

Nie dokończył, nie dałem jednak za wygraną i podtrzymałem:

- "Ale?..."

- "A l e t a k t r z e b a". - powiedział przez zaciśnięte zęby. I znowu oczy Jego wybiegły daleko w myślach niedopowiedzianych. Tłumaczyłem:

- "Nie rozumiem. Przed eż mógłby Pan spokojnie i z pożytkiem dla sprawy szkolić kadry młodych lotników, mógłby Pan przyjąć funkcję senior-officera na jednej ze stacji polskich, mógłby Pan..."

- "Siedzieć za biurkiem? Tak?" - wybuchnął. Stonował jednak głos, opanował się, pochylił jeszcze niżej głowę i mówił dalej już przyciszonym, miękkim głosem, w którym przebiegała nuta dużego wzruszenia na przemian z wyraźnym tonem jakiegoś zaznanego bólu osobistego, bólu dotkniętej ambicji lub zadrażnionej godności: - "Pan nie wie o wielu rzeczach, Pan nawet nie przypuszcza... dziś trudno być starym oficerem. Nie wiem jak inni robią. Ja doszedłem do przekonania, że siwe włosy nie mogą mnie kamuflować..."

Zrozumiałem i ucisnąłem rękę Pułkownika. Byłem do głębi wstrząśnięty tą rozmową. Nie wiedziałem, że była ona ostatnia. Minęło kilka dni. Jeszcze w Anglii dowiedziałem się, że Pułkownik był już cztery razy nad Niemcami i wracał szczęśliwie, że czuje się dobrze. Dziwnie jakoś nie wychodził mi z pamięci siwy Pułkownik...

Dziś siedzę zadumany nad krótką notatką: "Dwa pokolenia".

... "Żałoga musiała wodzić. Opuszczał samolot ostatni, a wiek i rary utrudniły mu dopłynięcie do łodzi ratunkowej..."

Wracają Jego słowa z ostatniej rozmowy: "Ale tak trzeba..." Brzmia one nutą męskiej determinacji, brzmia pełnym poświęcenia uczuciem dla Polski, której imię niegdyś swoim lotem rozślawił po całym świecie.

Siwy Pułkownik przekreślił własną bohaterską decyzją linię podziału na starych i młodych. Przekreślił kładąc głowę na dalekich falach morskich.

Rzucamy w myślach na te fale wieniec z białych i czerwonych kwiatów. Z białych, jak Jego włosy... z czerwonych, jak żołnierska krew....

Szkocja dnia 3 lipca 1942 r.

Wiktor Budzyński.

XXXXXXXXXX

Z A L G I E R U D O S Z K O C J I.

/"Polska Walcząca" Nr 13, dnia 28.III.42 r./

- "Czy pamięta pan kolega Ghica-Tei?" - Zagadnął mnie młody żołnierz przydzielony do pomocy technicznej w czasie przedstawienia. Oczywiście pamiętałem i małą uliczkę tej nazwy, zgubioną wśród sąłków podmiejskich w Bukareszcie i dom noclegowy dla uchodźców polskich utrzymywany przez YMCA. Ścisłej mówiąc ów "Dom" to był właściwie dość duży pokój, zbudowany w rzadko spotykanym kształcie trójkąta, zawsze wypełniony prymitywnymi łózkami, na których chwilowy odpoczynek znajdował i zbiegł z obozów internowanych, z obszaru całej Rumunii, zwanej w przystępie megalomani: "Romania Mare". Kilka razy w ciągu naszego pobytu "lwowska fala" późniejsza czołówka teatralna W.P. występowała w tym trójkątnym pokoju. Wtedy też spotkałem tego młodego pancerniaka, który niedawno wraz z setką niemal towarzyszy przybył z piasków algijskich do szkockich wrzosowisk. Pod wpływem dawnych wspomnień w kącie świetlicy stanowiącej garderobę popłynęło opowiadanie.

- "W czerwcu ub.r. kiedy we Francji wszystko było już skończono, pomaszzerowałem wraz z gromadką kolegów na południe, bo taki był rozkaz. Nie wiedzieliśmy, jak długo wędrować nam wypadnie, ani jak się zachowają dawni sprzymierzeńcy Francuzi, chcieliśmy jednak za wszelką cenę wyrwać się z łap niemieckich, a potem połączyć się ze swoimi. Niestety nie udało się. Po długich tarapatkach i podróży o głodzie i chłodzie zhaleźliśmy się w obozie... internowanych pod Marsylią.

To ci dopiero los! Ledwie człowiek wyprostował trochę kosci, obolałe od leżenia na rumuńskich pryzkach obozowych, a tu znowu to samo się powtarza we Francji. Znikła nadzieja szybkiego powrotu do swoich; zaczęliśmy znowu żyć ponurym życiem oddzielonych od świata. Pracować trzeba było ciężko, a żywiono nas podle, ale nie najgorzej jeszcze było z początku, póki szacunek nas otaczał. Bywało francuski "poilu", albo i oficer po-



dejdzie do którego z naszych i rękę mu ścisną powiadając, że Polacy to dzielny naród "boni soldat".

W miarę jak czas upływał, zaczęło się robić ciasno w naszym obozie. Polaków przybywało coraz więcej. Zwożono teraz dopiero odnalezionych "leśnych ludzi", pakowano za druty przycupniętych po winnicach i folwarkach, zbiegłych z niewoli niemieckiej, zawróconych z granicy hiszpańskiej. W długie jesienne wieczory słuchaliśmy opowiadań o przygodach tych zawziętych obieźwicieli, którzy zresztą o niczym innym nie myśleli, jak tylko, aby jaknajprędzej wziąć nogi za pas.

Niektórym udawało się. Francuzi nawet nie bardzo pieklili się, gdy ten i ów nagle zniknął z baraków, tylko kiwali z politowaniem głowami, nad nierozwagą polską, zawsze guza szukającą. Pchają się wasi chłopcy do tej Anglii, ale jej dni są już policzone, bo skoro Francja nie dała rady, a Hitler się zawzięł, to już tam pewnie z Londynu nie zostanie kamień na kamieniu" - mawiał dobrodusznie jeden z naszych szefów.

Tymczasem z radia zaczęły płynąć inne wiadomości: jak samoloty niemieckie zamiast na lotniskach angielskich lądowały na dnie Kanału, jak nasi lotnicy oczyszczali niebo nad Anglią ze szwabskiej szarpany, jak nasze okręty, dawno już "zatopione" w komunikatach niemieckich uwijały się po morzach. Podnosili się na duchu i Francuzi.

Przyszła późna jesień, potem zima. W nieopalanym baraku coraz trudniej było żyć, bo i stosunki z Francuzami się popsuły. Kiedy Niemcy swoim obyczajem rozpoczęli rabunkowe rekwizycje żywności, nastroje zrobiły się takie, że znowu zaczęto na nas koso patrzeć a niedługo odżyła znowu stara bujda o nierozsądnym polskim oporze w sprawie Gdańska i "korytarza" który spowodował wojnę i wszystkie związane z nią udręki. Już nam i na palce uważniej patrzano, wychodne skasowano zupełnie, a raz, kiedy słuchaliśmy audycji Wolnych Francuzów z Londynu wpadł oficer i zezlił się okropnie grożąc zamknięciem świetlicy. A właśnie w tej świetlicy, prowadzonej przez Polski Czerwony Krzyż skupiało się nasze prawdziwe życie: tu schodziliśmy się na pogadanki i wieczornice, tu odbywaliśmy lekcje obcych języków słuchali nowin radiowych, redagowali gazetkę obozową.

W miarę, jak szkopy rozgospodarowywali się we Francji, nasz los się pogarszał: przebakiwano nawet, że Niemcy mają nas zabrać i wywieźć do swoich obozów pracy. Jakoś jednak do tej ostatecznej biedy nie doszło, ale zarówno ja, jak i moi koledzy, ucieszyliśmy się bardzo, kiedy nam powiedziano, że pojedziemy do Algieru.

No, i pojechaliśmy. Lepiej się nam wiodło, mróz nie dokuczał, jedzenie było lepsze, może dlatego, że żywność bardzo tania w tamtych stronach, a ponieważ z arabskimi żyliśmy w wielkiej przyjaźni, więc się niejedną dobrze pożywił przy okazji orientalnymi przysmakami w tubylczym domu. Szwabska propaganda widać działała i tutaj, bo wielu arabsów miało bardzo dziwne wyobrażenie o tym, co się dzieje na świecie, o "szlachetnym, wielkim Adolfie", ale i nas lubili, powtarzając przy każdej sposobności, że każdy Polak jest "mezien sahabi" /dobry towarzysz/. Dopiero, kiedy zaczęliśmy im pakować do rozumu, co to za dranie są Niemcy, niejedną Araba za głowę się brał ze zdumienia i zaklinał się na proroka, że "Lechistan" musi być wolny, a skoro nie może być inaczej, to niechże polscy "sahabi" wyłomotają rzetelnie "szlachetnego Adolfa" i jego "wojowników".

Tak rozwijała się i wzrastała przyjaźń polsko-arabska w dalekim Algierze. Minęła zima, przeszły wiosna i lato, zbliżała się znowu jesień, kiedy przyszła dla nas chwila wybawienia. Nie mogę dzisiaj mówić o tym, jak się to wszystko stało, ale pewnej ciemnej nocy, ja i 53 moich kolegów znaleźliśmy się nad brzegiem morza. Darowaliśmy Arabom na pamiątkę nasze ubrania i drobiazgi, uścisnęliśmy dłoń młodemu francuskiemu kapralowi, który nam powiedział: "do zobaczenia na wolności" - i tylko w spodenkach kąpielowych rzuciliśmy się w morze.

Płynęliśmy blisko kilometr: bo tam dopiero czekał na nas kuter rybacki nie wielki 4-tonnowy stateczek. Owinęliśmy się kocami i stłoczeni do niemożliwości, bo razem z załogą było nas 58 chłopów w tej łupinie, rozpoczęliśmy podróż w nieznane. Cztery dni i cztery noce płynęliśmy po morzu, aż zerwała się wichura potężna. Nasz kuter wynosiło w górę a potem rzucało w dół tak, że zdawało się nam, iż lada chwila znajdziemy się na dnie.

Straciliśmy też trochę orientację i dlatego nad ranem przyuważyli nas Hiszpanie i zatrzymali. Kiedy statek z "carabinierami" podpłynął do nas, myślałem w pierwszej chwili, że to już koniec nadziei, i że na odmianę przyjdzie gnój w hiszpańsko-osiowym kryminale. Ale "rybak", który nas wioził, spokojnie oświadczył, że jesteśmy rozbitekami ze storpedowanego statku angielskiego i wnos nam z głowy spaść nie może. Kłócili Hiszpanie głowami, ale nas puścili, tylko ich starszy oficer zauważył, że to właśnie rzecz, iż "rybak" włada kilkoma językami i jest taki wyszczekany.

Popłynęliśmy tedy dalej. Pogoda się poprawiła, okwiejba zelżała nieco, a wkrótce zauważył nas brytyjski samolot patrolowy, tak, że szczęśliwie wylądowaliśmy w Gibraltarze. Dopieroż nas angliczanie wzięli w gościnę, obsypali papierosami, ubrali, nakarmili i bardzo się cieszyli razem z nami, że udało się nam wyrwać z opałów.

Odpoczęliśmy w tej wspaniałej fortecy co się zowie, a potem ruszaliśmy w dalszą drogę. Wiozły nas polskie okręty, myślałem, że bractwo oszaleje z radości chodząc po polskim pokładzie. Przecież to terytorium polski. Przecież na polskim okręcie, to tak, jakbyśmy byli w Kraju!



Przerwaliśmy rozmowę, bo zbliżał się czas rozpoczęcia przedwywiadu. I znowu ściągnęliśmy kurtynę znikając na widowni. Wyszliśmy na scenę: podłoga, polska płowizna. Z widowni patrzyły na nas młodzieńczo, rozpalone oczy, namiętnie się spalała ciekawym skłóceniem twarzy. Żołnierze i dywizji czarnej brygady podhalańskiej i innych oddziałów z Francji dołączyli do bratnich szeregów na szkockim wybrzeżu.

Ludwik Bojczak

XXXXXXXXXX

## Korespondencja z nad Lille

/Polska Walcząca Nr. 29 z 1944 r./

Na początku było - niebo. Głównie, rozświetlone słońcem, wschodzącym z poza gór, krwawiące strzępami obłoków, ponure i majestatyczne, groźne i wspaniałe.

Na nami była jeszcze noc. Wystartowaliśmy o świcie z macierzy tego lotniska, żeby przez "gołębą noc" wylądować na miejscu spotkania z innymi squadronami. Nawie wszystkie polskie jednostki myśliwskie miały wziąć udział w tej operacji - "biggest ever in daylight over the enemy occupied territory"/największej dotąd w tym świetle dziennym nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela/.

Nawiasem leciało się, jak na krajoznawczą wycieczkę. Powietrze spokojne, jak woda na jeziorze, pod nami ziemia, śpiąca jeszcze gdzieś gdzieś pod pierzynami białych mgieł - jakże silnie musi być tym odkrytym połaciom pól; nad nami purpura, później pomarańczowość, później sploty, wreszcie zimny, nieogrzany błękit otwartego nieba.

Mijamy małe miasteczko. Choć małe, wiszą nad nim wielorybnie cielska balonów. Władek twierdzi, że tam jest fabryka dżemu. Ale Władek, jako prezes Klubu Pesymistów, musi być jednocześnie i cynikiem.

Lece w drugiej trójce. Powietrze jest tak spokojne, że sylwetka prowadzącego pierwszą trójkę znieruchomiała w obramowaniu szybki, przez którą patrzę. Po obu jego stronach ważą się niedostrzegalnym ruchem jego boczni, jak szale uspokojonej, lecz ciężkiej wagi. Przesuwam moją trójkę tak, żeby sformować regularny trójkąt, następne trójki robią to samo; jakże piękny, spójny układ musimy teraz tworzyć dla kogoś, kto na ziemi usłyszawszy chór dwunastu basowych Merlinów, podniósł głowę do góry.

I dostrzedy żal, że już jesteśmy nad lotniskiem, na którym mamy wylądować i spotkać się z innymi squadronami.

Sakramentalny cup of tea w kasynie. Przy okazji spotyka się mnóstwo znajomych z tamtych squadronów. Często latało się z nimi razem, ale z różnych powodów, spotykając się w powietrzu, bez rendez-vous na ziemi; tylko po literach, wymalowanych z boku maszyny, poznawało się tych z Trzystanastego, lub tamtych z Trzystępiętnastego. Jakaś SZ uratowała jakąś WX, której Monserschmidt siadał na ogon, a dopiero w parę miesięcy później jakiś Jurak spotykał się z jakimś Jankiem i przypadkiem, przy wspomnieniach z dawnych wypraw, okazało się, że to Jurkowi Janek zawdzięcza życie; oszacowane zresztą zgodnie przez obu dość tanio: jedna double whisky.

Ale tymczasem zaczęła się odprawa przed zadaniem. Dostojnicy z niezliczonymi nami na rękawach i łęczową sakatką orderów na piersiach uświadamiali nas: kiedy, dokąd, o co i jak. Szaleścili przy tym wielkimi mapami i rysowali na nich energicznymi pociągnięciami grube, czarne linie, co na młodszych pilotach robiło przejmujące wrażenie.

Po oficjalnej części spadek krótki, lecz ulewny deszcz prywatnych rad, wskazówek, ostrzeżeń i informacji, poczem piloci, pokrzepieni na duchu prawdami, które sami ogłosili innym, rozeszli się do maszyn.

Znowu trójka ze trójką goni w niebo, ale już nie dwanaście Merlinów goni teraz wibrującym basem squadron za squadronem przyłącza się do chóru, z sąsiednich lotnisk startują inne skrzydła, do kom słońce flegmatyczne, pedantyczne, zimnokrwiste bomby. Setki maszyn płyną na południowo-wschód, jak fantastyczne ptactwo w jesiennym odlocie, zapożyczając powietrze od ziemi aż po wysokości, gdzie tylko komety białych smug, sunące zgodnie w jednym kierunku, dają znać, że ktoś mać spokój lodowatych wyżyn niebieskich.

Zamglony ląd zbliża się, wyraźniej, odeknięcia kontury pól i lasów, miast i wsi. Nie trzeba mapy żeby rozpoznać tak dobrze już znane: Cap Gris Nez, którego nazwa porzeczka się z jaskrawością, piaszczystą wydumą; po bokach, gdzie wykultury wafelnie pierwotne dymy artyleryjskich pocisków - to Calais i Boulogne - a przed nami, pokryte starą, lecz wciąż nawiającą się opłą bombardowań - St.Omer; dalej Hazebrouck, równie modne i często odwiedzane



jak St.Omer.

Są bowiem miejsca szczególnie f a s h i o n a b l e, szczególnie uprzywilejowane przez myśliwską sositę. - "Byliśmy nad Béthune" - "Lecimy nad St.Omer" - podobnie mawiało się kiedyś: "Tróciliśmy z Krynicy" - "Wybieramy się do Jastarni".

Ale dziś lecimy dalej, dokąd żaden myśliwiec przed nami jeszcze nie zaleciał. Morze już znikło na horyzoncie i śmiesznie jest pomyśleć, że, gdzie okiem sięgnąć, hen, dziesiątki mil, tam wokół rozpościera się przed nami "teren nieprzyjacielski".

Otoż i Lille. Podobno wielkie miasto, a takie przecież małe. Ale cała kula ziem-ska kurczy się dla tego, kto może widzieć jednocześnie Anglię, Francję, Belgię i Holandię, a wystarczy do tego celu nabrać ze trzydzieści tysięcy stóp wysokości przy czystej pogodzie. W takich chwilach żałuję, że nie jestem nad Mochemami, przekonałbym się nareszcie, czy rzeczywiście mają kształt buta.

Ale w tej chwili interesują mnie bardziej białe obłoczki pojawiające się nagle na czarniawym tle fabryk. Bombowców nie widzę. Są znacznie niżej od nas, a ich kamuflaż upodobił się do tła ziemi, jak gąsienica do liści, które pożera. Tym bardziej nie widać bomb, dopiero ich bezpośredni skutek. Trick, isn't it?

Równie interesujące są dwa lotniska na południe od miasta. Naturalnie Messerschmidtów na nich nie zobaczysz, choćby nawet nie wystartowały. Ale wystartowały napewno, bo właśnie w takich chwilach poznaję głos Fortunata: "Messerschmidty z lewej".

Te informacje mają swoją słabą stronę. "P s y o h o l o g i a, moi drodzy: słyszysz "Messerschmidty z lewej" i natychmiast podniecona wyobraźnia maluje czarne krzyże na kadłubach czterdziestu bratnich Spitfire'ów po twojej lewej. Słyszysz "Messerschmidty z tyłu" i oto w lusterku widzisz dwadzieścia podejrzanych maszyn, celujących w twój ogon. Co gorsza, Fortunat jest bystry, co zobaczy, to zaraz mówi, a głos ma przejmujący.

Tymczasem skręciliśmy w lewo, Messerschmidty są pod nami, pierwsze nasze czwórki atakują. Nagle, z góry przed nami, spada, jak pocisk armatni, okrągły pysk Focke-Wulfa, bryzga smugami z karabinów w jakiegoś Spitfire'a i na tej samej zawrotnej szybkości mknie, pikując prawie pionowo. - "N i e g r z e c n y" - musiał powiedzieć w tej chwili Józek; Józek, jak jest na kogo bardzo zły, zawsze mówi: "niegrzeczny".

Ale wyróżniony Spitfire nic sobie nie robi i pruje dalej. Spitfire jest podobny do ludzkiej istoty: można go szarpać ogniem z działek, można mu podziurawić skrzydła i wystrzępić ogon, zrobić sito z kadłuba i wentylator z kabiny, a on leci; a kiedy indziej jeden mały pocisk karabinowy trafi gdzieś w nerwy iskrowników, płuca cylindrów, lub serce jakiejś pompki i już - trup. Dobrze, jeżeli - zimny trup, czasem bywa gorący.

Temu naprzykład Messerschmidtowi, który właśnie z przed naszej pierwszej czwórki piką idzie do ziemi musi być bardzo gorąco, bo dym puszcza coraz gęstszy. - "Ale ciepła coś za wiele" - pomyślał pewnie Fritz i skacze, a jego Messerschmidt już niedwuznacznie ogniem zieleje. Niechże im ziemia mięka będzie.

"Messerschmidty z tyłu" - huczy w słuchawkach głos Fortunata, a z przodu kurtyna dymków, wdzięcznie rozwieszona przez artylerię z Dunkierki. / przedziwnych zygzakach leci bractwo poprzez te eksplodujące obłoczki. Przypomina to "tańiec wśród jaj" - byle nie nadepnąć na jajo! Gorzej, że te artyleryjskie jaja tańczą również i to z mocną intencją karambolu.

"Boże chroń mnie od przyjaciół, a z wrogami sam sobie poradzę" - pomyślałem w chwili, gdy jakiś nerwowy Spitfire mignął mi przed samym nosem.

Ostatnie eskadrony uwijają się jeszcze wokół tych "Messerschmidtów z tyłu", a my jesteśmy już nad wodą. Pod nami pełzną zielonkawe sylwetki bomborów, suną w ordynku z angielską flegmą, choć łżejsze, o, łżejsze niż w tamtą stronę. Wciąż wszystkie, nie widać żadnego pustego miejsca w szyku, ach, jak przyjemnie!

Otoż i lotnisko. Lądujemy, lądujemy, lądujemy. Chryste, iluż nas ląduje! Wreszcie i ja upatrzyłem dobrą chwilę, spływam cicho i siadam na miękiej trawie. Teraz szybko podkładać pod hangary, bo z tyłu następny siada mi na ogon.

Obok mojego wylądował ten Spitfire, do którego strzelał Focke-Wulf. Na przedniej szybce został piękny rozprysk od pocisku karabinowego. Gdyby szybka nie była taka twarda i gruba, rozprysk byłby w głowie pilota. Ale pilot w głowie ma tylko troskę, jak wyszło zdjęcie Messerschmidta, którego zapalił po drodze. "Fotogenicznie się palił" - powiada.

Zaskoczony, a hałaśliwy obiad. Fortunat stawia piwo i wielkim głosem opowiada o swych przeżyciach. Tyle się nakrzyczał w powietrzu, a jeszcze mu tyle głosu zostało. Ani śladu chrypki. Ma zdrowie.

Gustaw Nierad.